ROK III. Chicago, dnia 27-go Sierpnia 1885. **No. 35.**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 606 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI.
Czwartek, 27 sierpnia.	Cezarego męcz.	Przedzisław
Piątek, 28 sierpnia.	Augustyna b. w.	Wyszomir
Sobota, 29 sierpnia.	Scięcie św. Jana Chrzcic.	Racibor bl.
Niedziela, 30 sierpnia.	14 po Z.S. Felixa m., Róży L.	Szczęsny bl.
Poniedziałek, 31 sierpnia.	Rajmunda Nonn.	Swiętosław
Wtorek, 1 września.	Bronisławy i Idziego	Dzierżysław
Sroda, 2 września.	Stefana kr. i Maxyma	Czcibóg

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XIV. PO ŚWIĄTKACH.

Ewangelia św. Mateusza w rozdz. XVII. od w. 24 do 34.

W owym czasie mówił Jezus do uczniów Swoich: Żaden nie może dwom panom służyć: bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie. Dla tego powiadam wam, nie troszczcie się o żywot wasz, cobyście jedli, ani o ciało wasze, czembyście się odziewali; bo czyliż dusza nie jest ważniejsza, niż pokarm? a ciało niźli odzienie? Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, iż nie sieją, ani żną, ani zbierają do gumien, a Ojciec wasz niebieski żywi je. Ażaliż wy nie daleko ważniejsi niż one? I któż z was, obmyślając, może przydać do wzrostu swego łokieć jeden? A o odzienie dlaczegóż się troszczycie? Przypatrzcie się liliom polnym, jak rosną, nie pracują, ani przędą; a powiadam wam, iż ani Salomon we wszystkiej chwale swojej nie był odziany, jako jedna z tych. A jeźliż trawę polną, która dziś jest a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa, jakoż daleko więcej was małej wiary? Nie troszczcie się tedy, mówiąc: Cóż będziemy jedli, albo co będziemy pili, albo czem się będziemy przyodziewać; bo tego wszystkiego poganie pilnie szukają. Albowiem Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano.

Dąbrówka i Jadwiga.

Wspomnienie o dwóch bogobojnych niewiastach, za których sprawą w Polsce i Litwie chrześciaństwo się zakorzeniło.

Jeżeli Wiara św. jest skarbem nad skarby dla każdego chrześcianina katolika, to zaiste godzi się chować w wdzięcznej pamiątce imiona tych, którzy Ojców naszych z ciemności pogaństwa wydarli. Do tych świątobliwych osób, choć dotąd przez Kościół św. za świętych lub za błogosławionych nieuznanych, należą przedewszystkiem Dąbrówka i Jadwiga,

Dąbrówka, córka księcia czeskiego Bolesława, żona naszego Mieczysława a matka Bolesława Wielkiego, położyła bardzo wielkie zasługi co do wprowadzenia i utwierdzenia chrześciaństwa do Polski.

Mieczysław, książę polski, wówczas jeszcze bałwochwalca, prosił o rękę Dąbrówki. Przyrzekła księżniczka pojąć go za małżonka, jeżeli porzuci pogaństwo, a zostanie chrześcianinem. Zezwolił na ten warunek Mieczysław, jakoż za łagodną namową Dąbrówki r. 965 lub może 966 przyjął w Gnieźnie chrzest św. z rąk czeskiego kapłana Bohowida. Wnet za przykładem księcia i cały naród pogaństwo porzucił.

Nie mamy wiele wiadomości o Dąbrówce, sądzić jednakże można, że to była pobożna i miłosierna pani. Wiemy z pewnością, że do kościoła w Trzemesznie w Wielkopolsce darowała dwa kielichy, które dotąd tam się znajdują. Jest na nich obraz Ukrzyżowanego i dwie niewiasty. Przez dziewięć wieków nikt nie mógł odgadnąć, co te dwie niewiasty oznaczają. Zapewne każdy zgodzi się na następujące wytłumaczenie, jakie podaje znakomity polski uczony Józef Łepkowski.

"Na patynie wyryta postać Ukrzyżowanego. Z lewej Chrystusa Pana stoi kobieta z zawiązanemi oczyma — w ręku trzyma chorągiew ku ziemi proporcem zwróconą — korona upadła przy jej nogach. To pogańska Ojczyzna nasza. Z prawej krzyża stoi taż kobieta już w koronie —

rozwinęła proporzec — oblicze wzniosła ku Zbawcy, a do boku Jego podstawia kielich, aby weń najświętsza krew płynęła. Napisy owej patyny mówią: jako życie pokonywa śmierć, a bezbronny zbrojnego zwycięża (*Vita subit letum — armatum vincit inermis*).

Przyjęła tedy ojczyzna nasza ów proroczy kielich z rąk Dąbrówki i w rozwoju dziejów w misyjnych celach przyszło nam duchowne z sąsiadami krewieństwa zawierać. Mieczem zasłanialiśmy krzyż, pokąd nas nie rozbroiła Opatrzność. W kolebce ukazaliśmy się już takimi, wypływając z łona Słowiańszczyzny jako naród, któremu w piastowej chacie Anieli obierają króla a Chrobremu podają w rękę miecz z nieba zesłany. Więc przyjmuje Polska wygnanego z Czech Wojciecha, wyprawiając go jako Apostoła na Pomorze pod zasłoną żołnierzy swoich. Za orężem polskim znamię krzyża stawa — w Luzacyi, Miśnii i u Wendów nasi chrześciaństwo krzewią. Na Ruś wyprawił Bolesław Apostoła Brunona. Kapłani kijowscy uginają przed królem polskim kolana. Adelajda, Mieczysławowa siostra, Madziarom Wiarę śtą. daje, a z niej rodzi się śty. Szczepan, twórca węgierskiego królestwa. Chrzest Litwy, a oweż walki z Tatarem i Turkiem, wreszcie opór przeciw protestantyzmowi i schizmie, czyż to wszystko nie misye w sprawie chrześciaństwa? Czyż to nie męczeńskie prace dla zyskania owych kropli krwi Zbawcy, które spadły do ojczystego kielicha, odebranego z rąk Dąbrówki na symbol dziejów naszych?”

Otóż takie wspomnienie przywodzi na pamięć kielich, ofiarowany przez Dąbrówkę, na którego patynie wyryte proroctwo przyszłości Polski.

Dąbrówka umarła 977 r. w Gnieznie, gdzie jest pochowana w kościele katedralnym niedaleko wielkiego ołtarza.

Podobną zasługę zjednała sobie także świątobliwa nasza królowa Jadwiga, która oddała rękę Jagielle, księciu litewskiemu, skoro jej przyrzekł, że nietylko sam się ochrzci, ale i cały naród litewski do przyjęcia chrześciań-

stwa nakłoni. A tak świątobliwa Jadwiga pozyskała dla nieba miliony dusz pogańskich.

Już zapewne z historyi polskiej wiecie, jak pobożną i litościwą nasza królowa Jadwiga była. Gdy razu pewnego pozabierano włościanom bydło i srodze ich gnębiono, wtedy prosiła za niemi Jadwiga, a na rozkaz króla wrócono ludowi własność. Król Jagiełło rzekł: "Otóż nagrodzona szkoda." Na to odrzekła smutnie dobra i litościwa pani: "Tak powrócona szkoda, ale któż nagrodzi łzy tym biednym ludziom?" Co to za niewysłowiona dobroć tej szlachetnej polskiej królowej.

Jadwiga była bardzo pracowitą, mianowicie szyła do do kościołów ornaty. Do Malborga sprawiła przed obraz Matki Boskiej sukienkę srebrną, która tam się jeszcze znajduje. Starała się pilnie o oświatę, wiedząc, że ludzie bez oświaty szczęśliwymi być nie mogą. Przyczyniła się do wskrzeszenia na nowo akademii krakowskiej, na który cel ofiarowała swoje kosztowności. Była bardzo pobożną. Pismo święte na język polski przełożyć sobie kazała. Lubiła najchętniej czytać opis Męki Pańskiej. Jest też podanie, że Pan Jezus z krucyfiksu, przed którym się modliła, raczył do niej przemówić.

Niedługo cieszyła się Polska dobrą królową, gdyż już 1399 r. umarła Jadwiga, licząc dopiero 28 lat życia. Cały naród, a mianowicie ubodzy opłakiwali śmierć świątobliwej pani i słusznie, gdyż już podobnie dobrej i zasłużonej królowej Polska nie miała.

Pochowana jest w Krakowie w kościele katedralnym pod skromnym czarnym kamieniem. Działy się cuda przy jej grobie, dla tego zaczęto się już starać o jej kanonizacyą.

Dąbrówka i Jadwiga przez zaprowadzenie chrześciaństwa w Polsce uczyniły tyle dla Polski dobrego, że po dziś dzień każdy Polak i Polka, każde nawet dziecko polskie z wdzięcznością ich imiona wspominać powinni. Niechże tedy ich pamiątka będzie błogosławioną w naszym narodzie.

DZIEJE POLSKI

Za Panowania Ostatniego Króla

Stanisława Augusta Poniatowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wojsko polskie, połapawszy hersztów, utworzyło natychmiast dwa sądy wojenne: jeden w Kodni, drugi w Serbach. Wyroki były bardzo surowe, nawet srogie; hersztów wieszano, ćwiartowano, ucinano im prawą rękę i lewą nogę, lub tym podobnie karano; lud sam wołał, by srogą pomstę brać za gwałty hajdamackie, bo i ten lud cierpieć musiał z przywiązania do Polski.

Gonta skazanym został na wbicie na pal i na odarcie sześciu pasów! Protestował przeciw takiej karze, mianując się nie podłym zbójcą, lecz naczelnikiem ludu i pełniącym jego wolą. Ale hetman zatwierdził wyrok, i ten niebawem w Serbach wykonano. Gonta widząc śmierć przed oczami, nawrócił się i modlił ustawicznie na polskiej książce. Książka ta dostała się do rąk pana Zaleskiego, porucznika kawaleryi narodowej, który był obecny przy jego egzekucyi. Nawiasem mówiąc, portret Gonty znajdował się przez długi czas w galeryi obrazów, jaką Potoccy mieli w Krystynopolu.

Jak tylko Gonta został stracony, więc gdy już nie mógł złożyć żadnego świadectwa, zjawił się natychmiast posłusznik z monastyru łebdyńskiego i złożył świadectwo, że hramota złota, jaką się Żeleźniak wszędzie popisywał, była sfałszowaną przez księdza wikarego i przez Żeleźniaka. Kto go przysłał, łatwo się domyślić. Chciała się wywinąć caryca, chciał się też uniewinnić i ihumen monastyru. Sąd polski uwierzył świadectwu (czemu uwierzył? niewiadomo) i skazał wikarego na pal, ale z nim i ihumena na powieszenie.

Do spełnienia wyroku wysłano Kurdwanowskiego. Ten cerkiew łebdyńską otoczył, kazał stawiać szubienicę, kazał i pal wbijać, a potem wszedł do cerkwi. Zastał tam wikarego odprawiającego mszą; po jej skończeniu odczytano mu wyrok. Ihumen, chcąc wyrok złagodzić, wyniósł na tacy złoto,

ale daremnie, wykonano natychmiast oba wyroki. — Długo jeszcze szubienica i pal z dębowego drzewa zachowały się nienaruszone na miejscu; nawet po rozbiorach kraju za panowania Pawła moskiewskiego, gdy mieszkańcy prosili, żeby znieść te pamiątki hańby i rokoszu, otrzymali odpowiedź, żeby drzewa zostały jako pamiątka sprawiedliwości tej władzy, która podówczas krajem rządziła. Paweł był człowiekiem szlachetnym, przyjacielem Kościuszki; spotkała go też śmierć rychła i nienaturalna.

Skazanie na śmierć dwóch księży i wywiezienie Żeleźniaka zamknęło na wieki usta mogące świadczyć przeciw Katarzynie. Ale po cóż te świadectwa? Wykonała ona była w rzezi humańskiej to, co była zapowiedziała przez Repnina jawnie i publicznie, gdy król Stanisław wahał się z przystąpieniem do konfederacyi radomskiej.

Upadek Baru i rzeź humańska równocześnie wpłynęły na wielkie przygnębienie umysłów budzącej się szlachty; chociaż więc po całym kraju odżyły dawny duch rycerski i wiara dawna, pamiętna wyprawa Batorych i Sobieskich: jednak ostatecznie nie mogło być widoków, aby ruch konfederacki utrzymał się wobec potęgi Moskwy a obojętności królewskiej. Daremnie więc żołnierz partyi wielkopolskiej w Pyzdrach dnia 10go czerwca do konfederacyi przystąpił; daremnie szlachta wielkopolska w Poznaniu (w lipcu) do konfederacyi się skłoniła i Malczewskiego obrała regimentarzem; daremnie porwał się Dzierżanowski w Gostyninie (20go lipca) ze szlachtą miejscową i Kurpiów w Augustowskiem do wojny partyzanckiej sposobił; jak tylko Potocki i Pułascy przegnani zostali za Dniestr, toż i konfederacyą należało uważać za stłumioną. Pobici też zostali: Ulejski pod Nakłem, Budzyński pod Frejnem; Kraków, choć się pod kanonikiem Garlińskim dzielnie bronił od 6go czerwca do 19go sierpnia, tak że nawet Paniu legł pod murami, jednak w końcu poddać się musiał, zwiedzony przez Apraksyna, który z początku miastu złote góry obiecywał, a potem je złupił, 600 rycerstwa zabrał i pognał do Kijowa, a 80 nawet na Sybir.

Pomiędzy zagnanymi znajdował się i on słynny Maury-

cy Beniowski, co odznaczywszy się zdobyciem Lanckorony na Moskalach, za karę wygnany został aż do Kamczatki. Ztamtąd później uciekł, co mu europejską zjednało sławę, a następnie (w r. 1773) zdobył wyspę Madagaskar, obok Afryki położoną, został naczelnikiem całego kraju, a urządziwszy go zupełnie, oddał Francuzowi. Nadzwyczajne sprawy jego obudziły zazdrość własnych towarzyszów i zginął zdradziecko z ręki Francuzów roku 1786.

Francya, choć nie z miłości dla Polski, ale dla zajęcia Moskali, sprzyjała konfederacyi; gdy przecież przekonała się o smutnym stanie ducha narodowego, cofnęła się i stanęła po stronie Stanisława. Austrya również obłudną odegrała rolę, a nawet Saksonia opuściła naród, który tak ścisłemi dotąd związany był z nią węzłami. Saski dom czekał nawet na upadek Polski i z rąk Katarzyny spodziewał się korony dla księcia Karola.

Jedna Turcya ocuciła się i zrozumiała, że upadek Polski pomagał Moskwie a groził otomańskiemu cesarstwu. Dla tego Mustafa III, rozgniewany szalbierstwami Katarzyny, a jeszcze bardziej zamordowaniem posła, którego do Polski wyprawił, aby mu sam zdał sprawę ze stanu rzeczy, gdy nadto dowiedział się, że Moskale ścigając konfederatów spalili i tatarską część miasta Balty, a mieszkańców w pień wycięli: dla tego, powtarzamy, Mustafa III odpędził starego wezyra, który Moskwie sprzyjał, a powołał innego Mahomeda-Emina, co widział lepiej i pana swojego nie zdradzał. Dziwna to rzecz, Polacy; żaden z dworów arcychrześciańskich nie chciał podać ręki upadającej, niegdyś tak sławnej Rzeczypospolitej, idopiero poganin, ten sam, którego Polska przez trzysta lat biła pod Warną, Chocimem, Lwowem i Wiedniem, ten sam niewierny syn błędnego proroka podał nam rękę bratnią, oburzony kłamstwami, barbarzyństwem i wściekłością Moskali.

Wielki wezyr zawołał Obreskowa, posła moskiewskiego i zapytał go:

— Wiele carowa ma wojska w Polsce?

— Dwadzieścia i pięć tysięcy, odpowiedział poseł.

— Zdrajco! krzyknął wezyr, wszakże przed czterema laty zapewniałeś, że go nie ma nad siedem tysięcy i że go więcej nie będzie!

Obreskow, udając że prawdę mówi, dał własną osobę w zakład; wtedy go W. Wezyr wtrącił do więzienia w zamku siedmiu wież (6 października).

Krok ten ożywił nadzieje Polaków. Zbiegli konfederaci zabierali się do powrotu. Lecz niestety, już się do nich zakradły były niesnaski. Stary Pułaski ustąpić musiał Joachimowi Potockiemu; posądzono go o "zdradę", odsądzono go nawet od "rady i towarzystwa" (a concilio publico et privato consortio) a Krasiński rękę nawet podniósł na niego. Zacny ten patryota umarł ze zgryzoty "w więzieniu". Pomścili go synowcy, zwłaszcza Kazimierz, biorąc w osiem set ludzi po zamarznięciu Dniestru okopy ś. Trójcy i Żwaniec. Odżyli Wielkopolanie i bić się zaczęli pod Łobżenicą, Wróblewem, Grodziskiem, Kościanem (w styczniu 1769), wygnali nawet Moskali z Kalisza. Powstały Bydgoszcz, dalej Prusy, Płoczanie pod Zakrzewskim, Wyszogrodzanie pod kozakiem Sawą Calińskim, a jednocześnie Kerym-Giraj, Tatar, ostatni bohater z rodu Dżyngis-hana, zbiera Tatarów, wpada za Dniepr od Balty (23 stycznia) i w dwa tygodnie niszczy sto kilkadziesiąt miasteczek i wsi, posyłając przestrach aż do Moskwy.

Mustafa rozwinął chorągiew wielkiego proroka i 250,000 żołnierza zgromadził z wielkiemi zapasami. Katarzyna, mając skarb próżny, od gniewu, strachu i łez naraz się zestarzała. Upokorzyła się więc natychmiast przed sułtanem: zapowiedziała odwołanie Repnina; Kretecznikowa istotnie odwołała; wydała 200 Zaporożców, co Baltę byli spalili, na okrutne męki. Lecz sułtan nie dał się przebłagać. Wtedy Katarzyna uciekła się do ostatnich środków. Kierym Gieraja otruła przez Greka lekarza, w Adryanopolu zatruć kazała całą żywność wojskową, tak że Turcy własnych lekarzy tracić musieli za zdradę; poruszyła Czarnogórców i Kaukaz, a tym czasem sama pod Romańcowem i Goliczynem wystawiła sto tysięcy wojska, wysyłając je pod Chocim. (C. d. n.)

Jak Klimek przez nieszczęście przyszedł do szczęścia.

(Opowiadanie.)

Ej! co się znowu gorzałki a złej kobiety tyczy, to ja wam powiem historyę.

Nie byłoć to we wsi rządniejszego parobka, jak Klimek Mucha; robota mu się w ręku paliła; jak się chwycił młocki, to jeno cepy furczały mu w dłoniach, a kiedy z drugimi rżnął sieczkę, to o zakład żaden mu nie mógł nastarczyć. Dziedzic go lubił i jak jechał do miasta, to żadnego parobka nie brał z sobą tylko Klimka.

Lubili go i parobcy i cała gromada, bo był człek rzetelny, na nikogo nie szczuł przed panem, swoje odrobił, a przytem grał na skrzypeczkach wszelkie krakowiaki i oberki. Po żadnym grajku tak dobrze ani hulać, ani przyśpiewywać nie było składniej, jak po Klimku. O co zaś nań byli markotni parobcy, to o to, że się nigdy nie dał namówić do karczmy, ani wódki wziąść do gęby, a jak go kto molestował, żeby wstąpił na kieliszek, to mu odpowiadał:

— Bóg wam zapłać za gorzałkę, ale mojego tatusia ta djabelska para zabiła, to ja jej też pić nie chcę.

Owóż w mieście u starszej pani, dziedzicowej matki, służyła do kuchni urodziwa dziewucha Marynka. Klimek, że często jeździł z panem do onej pani, i w kuchni jadał, a Marynka mu też nie żałowała i jadła i omasty, bo jej snadź chłopak wpadł w oko, więc sobie upodobał Marynkę. Ciągło się to tam ze dwa lata a może i dłużej, aż wreszcie dali sobie przyrzeczenie, że się pobiorą, tylko Klimek bał się rzec o tem panu, żeby się nie rozgniewał, że mu żeniaczka zajechała do głowy.

Ale się szydło w worku nie utai długo; więc też raz starsza pani weszła z nienacka do kuchni i usłyszała, jak się Klimek zaprzysięgał, że nie chce żadnej innej tylko Marynkę; owoż, bojąc się, aby nie przyszło do obrazy Boskiej, powiedziała o tem zięciowi i prosiła, aby obojgu dopomógł do uczciwego wesela.

Zafrasował się dziedzic nieco, bo mu żal było puszczać ze dworu Klimka, ale że chłopisko wysłużyło 12 lat we dworze bez żadnego zbytku i zawdy robiło, jak się patrzy, więc mu wybudował chałupę na końcu wsi, dodał półczwarta morga obsianego pola, pół morga ogrodu przy domu i kawał łąki na bardzo mały czynsz, a starsza pani podarowała Maryśce dwie krowy, świnię i cztery kokoszki z kogutem. Dostał też ze dworu, jako podarunek, całoroczną ordynaryę, to jest ośm korcy zboża, a dla krów dwie fury siana i kopę słomy.

Byłoć to gospodarstwo takie, żeby mógł niejeden pozazdrościć; trzeba wam wiedzieć, że Klimek za pieniądze w służbie uskładane kupił nieladajakie hetki, a stryjek, co mu Klimek był krewniakiem, podarował mu stare wozisko, ale jeszcze dobrze wyporządzone.

I gdyby Marynka była jak inne kobiety na wsi dobrą gospodynią, toby mieli chleba po uszy; ale dobrze starzy ludzie mówią: "Cboćby sobie chłop po łokcie ręce urobił, jak baba próżniak—wszystko się zmarnuje." Marysia, że to z miasta, miała się za coś lepszego od wsiowych kobiet, do żadnej nie wyrzekła Boskiego słowa, tylko spoglądała z góry niby hrabina, albo księżniczka jaka. Do roboty miała kark za twardy, a nogi i ręce za sztywne. Z początku mieli sami oboje robić, ale jak Klimek ujrzał raz i drugi, że krowy niewydojone, i aże sam musiał się chwycić tej babskiej roboty, to mu się serce bardzo ścisnęło, bał się biedak, żeby się chudoba nie zmarnowała, a że sam miał co wedle pola robić, więc w ostatku przyjął dziewkę do krów i do innej roboty, a to na dorobku nie bardzo zdrowo, bo grosz wyciąga z kalety.

Wnet też Marysia do takiej hardości doszła, że gorsecik i spodnicę, co jej starsza pani na wieś sprawiła, podarowała dziewce, a sama wdziała swoje miejskie szaty i poczęła udawać szlachciankę i chodzić po wsi, jak indor po dziedzińcu we dworze. Wreszcie do tego przyszło, że nic robić nie chciała, ani nawet ugotować Klimkowi dobrej strawy. Ciężko pracował wedle roli, albo też woził kamienie do gościńca, żeby grosza coś zarobić, a jak przyjechał do domu zmordowany, to mu Marysia dała ziemniaczysków zimnych i źle u-

warzonych i ladajakiego barszczu, coby go ledwie trzoda jeść chciała.

Nie myślcie moi ludzie, żeby się i Klimkowa głodem morzyła. Nie żałowała sobie, ale kryjomo przed mężem kupiła sobie kawy w mieście, i gotowała jak go nie było, piła mleko, kupowała białe kukiełki u żyda i wszystkie jaja, co kokosze niosły, zamiast pod nie podsadzić, zjadała smażone na szperce. Dziewka robiła, co chciała, więc też i chudoba marniała.

Raz, drugi, Klimek jej wymówił po maluśku, ale się to na nic nie zdało, zeswarzył ją, ale i to nie pomogło, przyszło i do obrazy Boskiej, do wielkiej kłótni między niemi, ale to wszystko jak groch na ścianę. Dobrze to mówią starzy: "Ksiądz swoje, a czart swoje." Jak wzięła baba na kieł, tak od świtu do nocy kłótnie i bitki. Mieli też dwoje dzieci, ale biedne robaki chodziły uwalane jak nieboskie stworzenia, że się biednemu Klimkowi serce ściskało, a Maryna poniewierała dzieciskami jakby macocha. Tyrało się gospodarstwo, bo co Klimek zarobił, to ona przepuściła, aby się tylko ustroić, najeść i kwita.

Już to prawda, że człowiek najcierpliwszy i najpracowitszy, jak ma złą i kłótliwą kobietę, to mu ręce opadają w pracy i nie wie, czego się chwycić, bo mu w głowie huczy jak w młynie, a serce żałość ściska. Stało się więc, że Klimek, co na wódkę nigdy nie spojrzał, zeszedł się z kumem i jak wziął mu swą biedę opowiadać, tak też zaszli do karczmy i na turbacyę wypili po parę kieliszków. Klimkowi się raźniej zrobiło, przyszedł do domu i wybił żonę. Od tego dnia coraz częściej chodził do karczmy i tak się nałożył do onego gorzałczyska, że prawie wyszedł na pijaka. Sterało się wszystko do reszty. Poszła krowa i świnia z prosiętami na jarmark. Plątały się koniska i druga krowa, ale im setnio żebra przez skórę przeglądały.

Odtąd w piekło zamieniła się Klimkowa chałupa. Dziewka uciekła, bo jej Marysia jeść nie dawała; skwierczały dzieci od głodu, huczała Klimkowa jak woda przy upuście, Klimek śpiewał i grał na skrzypcach i pił gorzałkę, albo się też

kłócił i bił z Marysią. Cała gromada żałowała porządnego gospodarza, że wyszedł na gałgana.

Aż jednego dnia, kiedy Klimek podpity wrócił z karczmiska i wziął rzempolić na skrzypcach, Marysia zgniewana wyrwała je mu z ręki i ze złości podeptała nogami. Rozsierdził się Klimek, zrobił termedyę i poszedł do karczmy na zalanie robaka. Pił setnie, aż karczmarz, niemogący wytrzymać z pijakiem, wyprowadził z karczmy i drzwi za nim zamknął.

Szedł Klimek do domu i po drodze tęgo zaganiał kaczki, a babie się odgrażał, ale w końcu nogi mu się splątały, przewrócił się, legł na gościńcu i chrapnął, aż się po wsi rozlegało.

Właśnie wracał dziedzic z miasta i jechał wedle karczmy, gdy w tem konie przestraszyły się chrapania Klimkowego, a skoczywszy w bok, mało nie przewróciły bryczki a Klimka nie zabiły. Kazał je pan zatrzymać, a fornalowi Błażkowi zobaczyć, kto tam na drodze tak ogniście chrapie. Dowiedziawszy się, że to Klimek, zeskoczył i przy pomocy Błażeja ułożył go na bryczce i do domu zawiózł.

Zawołał pan parobków i kazał wnieść go do izby folwarcznej, i złożyć na słomie, potem poszepnął coś do ucha staremu karbowemu, a ten jak wziął oglądać i obmacywać Klimka, tak poznał, że ma nogę złamaną. Więc mu najprzód obłożył gorczycą, która go tak, moi kochani, piekła, że choć chłop ogromnie był pijany, to przecież parę razy roztworzył oczy i jęczał jak opętany. Potem zaś mu tę nogę opasali bandażem i osadzili w łupki.

(Dokończenie nastąpi).

Przyzwyczajenie drugą naturą.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą, mówi nasze polskie przysłowie i któż prawdziwości tych słów nie doświadcza na każdym kroku? Każdy z nas, mili czytelnicy, na swoje przyzwyczajenie, które najchętniej do życia

swojego zastósowuje. Głównie jednakże powinniśmy się przyzwyczajać do wypełniania dobrych uczynków. Chcę tutaj szczególniej mówić o modlitwie i dowieść, że przyzwyczajenie do tego dobrego uczynku bardzo człowiekowi jest potrzebne. Niemowlę, którego małe jeszcze rączęta składa matka do modlitwy, pokazując mu obraz albo figurę Zbawiciela lub Matki Boskiej, złoży mimowoli rączęta ile razy ten obraz zobaczy. Dziecko umiejące już mówić, przyzwyczajone przez matkę do odmawiania pacierza z rana i wieczór, samo klęka i z chęcią go odmawia. Ileż to razy młodzieńcowi, rzuconemu w wir świata, zostaje jedyne dobro, pacierz, którego go matka nauczyła; z wszystkich praktyk i obowiązków religijnych, pacierz tylko odmawia z przyzwyczajenia.

W dużem jednem mieście mieszkał Piotr z córkami swemi i Henryk ojciec także kilkorga dzieci. Córki obudwóch tych sąsiadów chodziły do jednego zakładu naukowego, równe odbierały wykształcenie, kochały się też bardzo, a szczególniej Marynia z Walerką. Później losy rozdzieliły te dwie rodziny. Piotr wyprowadził się z tego miasta daleko i przyjaźń dziewczynek się urwała. Po wielu, wielu latach, kiedy Piotr już umarł i Henryk w grobie spoczywał, spotykają się znowu Marynia z Walerką, dawna przyjaźń obudziła się w sercach ich i Marynia zaprosiła przyjaciółkę do domu swego, bo była mężatką i matką kilku dzieci. Walerka zaś była panną już nie młodą, a wykształcona na nauczycielkę w zawodzie tym pracowała. Bez majątku, chorowita, utrzymująca z małych swych dochodów kilka sióstr i matkę, była obrana z największego i jedynego biednych dobra — nie miała religii. I Marynia była niezamożna, doznała kiedyś lepszego losu, teraz tylko skromne dla swej rodziny miała utrzymanie, ale była bogatą w ufność w Bogu, w miłość ku Niemu, i tę mocną miała nadzieję, że będzie jej kiedyś lepiej, jeżeli nie prędzej, to w życiu przyszłem. Z żalem i smutkiem patrzała Marynia na Walerkę, która nie mając oparcia na Bogu, bez religii była najnieszczęśliwszem stworzeniem;

mówiła ciągle, że jej cierpienia fizyczne do nie uleczenia, że nie długo umrze, a jednak Boga nie szukała, tylko trwała w swej ku Niemu obojętności.

Razu pewnego widząc Marynia znowu taką w niej niewiarę, rzekła:

— "Walerko! czujesz się być bliską śmierci, a tak daleką jesteś od Boga."

— Ach! moja droga, odpowiedziała chora, zazdroszczę ci twej pobożności, tej ufności w Bogu i Jego rozporządzeniach, ale nie dziw się temu, że ja tak obojętną dla religii jestem, ojciec mój był protestantem, matka katoliczką. Dla tego mieszanego małżeństwa i żeby uniknąć niezgody, żadne z rodziców nigdy nie kazało nam iść do kościoła. Rzadko więc bardzo poszłam na nabożeństwo z własnej woli, bo albo mnie mróz, albo deszcz, albo upał od pójścia do Kościoła odstręczał. W tej obojętności do modlitwy, do rzeczy świętych wzrosłam, a nie przyzwyczajona od dziecka do chodzenia do kościoła, którego starannie unikałam i postępowałam tak dalej, aż doszłam do oziębłości religijnej, w której teraz na moje nieszczęście pozostaję. Taka jest, droga przyjaciółko, między nami różnica: Ty byłaś od małego dziecka przyzwyczajona do uczęszczania do kościoła, pamiętam bowiem, jak takie maleńkie jeszcze prowadził was ojciec z rana o szóstej zimą, chociaż w największą niepogodę na roraty, i jak ty małe jeszcze dziecko umiałaś wiele świętych i pobożnych pieśni, a w niedziele i święta to już nigdy wasza rodzina nie opuściła Mszy świętej i kazania. Mnie nikt do kościoła nie prowadził, nikt nie zachęcał. Zazdroszczę ci twojego szczęścia, twojej pociechy, jaką znajdujesz w Bogu, ale dla mnie już zapóźno, już ja w tej obojętności umrę, biada mi, że dzieckiem nie przyzwyczajono mnie do modlitwy."

Matki! w ręce wasze złożył Najwyższy nasienie szczęścia dzieci waszych w doczesnem i wiecznem życiu, zasiewajcie i zaszczepiajcie je rychło, zasiewajcie je przy najrychlejszem słońcu wiosennem żywota dzieci waszych, aby to nasienie wyrosłszy w roślinę było mocne i trwałe na całe życie.

Rozum na rozum.

W okolicy Mixtata żył sobie długo i spokojnie złodziej, który gładko się umiał sprawiać i według jego rozumienia i Boga obrazić nie potrzebował. Długo mu się to udawało, aż wreszcie spotkał zucha, co go lepiej przykazań Bożych nauczył. A dobrą musiała być ta nauka, bo kiedy mi o niej opowiadał, jeszcze go febra pobierała. Rzecz tak się miała:

W onym pamiętnym 1863 roku wypadła mi podróż nocą z okolic Mixtata ku Ostrowu. Kto zna te strony, wie że podróżować nocą, to nabłądzić i całą noc, drogę zmyliwszy, jeździć można. Tak się mnie niestety przydarzyło. — Woźnica mój, człowiek już nie młody, chcąc niejakoś kiepski mój humor naprawić, różne w tej błąkaninie opowiadał o tych stronach anegdotki, aż wreszcie koło jakiegoś pustkowia, westchnąwszy bardzo boleśnie, zamilkł.

— Cóż ci to, mój Walku, żeś tak nagle posmutniał i zaniemówił?

Jeszcze raz westchnąwszy tak począł:

— Ej, proszę pana, toć to już szczerą powiem prawdę, boć to już i dawne temu czasy, jam się poprawił, wyspowiadał, a i Pan Bóg już pewno przebaczył. Tu tej zagrody — wskazując na domostwo, póki żyć będę nie zapomnę. Dawniej, proszę paniczka, lubiłem bardzo nocką na cudze wychodzić pola, i tam, co mi się udało zabierać. I tak raz zaszedłem i to na kapustę, a była bardza ładna, ale już też przez kogoś spróbowana. Wziąłem się rączo do pracy, a że trzymały mi się figle, więc przy każdej siódmej głowie przystanąłem, wymawiając "Siódme nie kradnij", i na nowo od jednej do sześciu wycinałem, nie myśląc wcale, że gospodarz tej prawowierności może być świadkiem. Kiedy tak z zachowaniem przykazania Bożego w najlepsze pracuję, aż tu, mój miłościwy Jezu, wypada na mnie zaczajony właściciel, a był to chłop potężny, i nuż mnie sporym kijem obkładać bez litości. Niech mu tam Pan Bóg przebaczy, ale co mi wymłócił, przynajmniej dwieście kijów, to wymłócił! Ale i on niemiłosiernie obkładając, prawo Boże zachował, bo zawsze tylko do czterech liczył, a za piątem uderzeniem wołał: „Piąte nie zabijaj". Ile razy tego piąte nie zabijaj było, już nie pomnę, dość że na wpół zabitego w kapuście zostawił, mówiąc na odejściu:

— Rozum na rozum, — nie masz się o co na mnie gnie-

wać, obaj zachowaliśmy przykazania, to teraz i Pan Bóg na nas gniewać się nie będzie.

Wypowiedziawszy to, jeszcze raz mój Walek westchnął, a domawiając — Boże odpuść mi grzechy młodości — na dobrą wyjechał drogę.

Tak to długo dzban wodę nosi, aż się uchc urwie!

Do mody.

(Wiersze stare, lecz ciągle przydatne).

O modo, modo, cóżeś nabroiła,
Żeś już każdemu głowę zawróciła,
Bo czy niewiasta, mąż stary lub młody,
Trzyma się mody.
Przez cię mężowie w długach zagrzebani,
Aby kapryśnej wciąż dogodzić pani,
Bo białogłowa jak ryba do wody,
Bieży do mody.
O utrapienie ludzkie i zakało,
Tysiące ofiar jeszcze ci za mało;
Naród zmuszony znosić niewygody,
Dla płochej mody.
I spojrz na kobietę! nędzna i wychudła,
W pasie jak osa, a nogi jak szczudła,
Z tyłu falbany jak kręte schody,
Wszystko dla mody.
Przez cię młodzieniec wygląda jak dziwo,
Usiąść nie może, chodzić musi krzywo,
Kusy, opięty, jakby pasał trzody,
Bo słucha mody.
Tyś wynalazkiem chyba lucypera,
Twa władza wielka, zmienna jak chimera,
Męże poważne nawet golą brody,
Także dla mody.
Twoi poddani spokoju nie mają,
Wciąż twe rozkazy na pamięci mają,
W lecie upały, w zimie znoszą chłody,
Tak każą mody.
Miejże więc litość, ukróć nasze męki,
A my publicznie złożymy ci dzięki,
I urządzimy wspaniałe obchody,
Na chwałę mody.